

ŚWIATŁO

TYGODNIK ILUSTROWANY LITERACKI, ARTYSTYCZNY,
~ SPOŁECZNO-POLITYCZNY, POPULARNO-NAUKOWY. ~



Głos artystów polskich.

Polska, wyzwolona z niewoli politycznej, od pierwszej chwili swego niepodległego życia stała się przedmiotem walki biegunowo-przeciwstawnych sił. Reakcja, ciemnota, krzywda i wyzysk wyciągnęły drapieżne szpony po odrodzoną Polskę, by uczynić z niej podścielisko wygodne dla swego panowania. Żądza wolności, tęsknota do piękna, wola pracy — dźwignęły kraj do niepodległego życia, i uczynić zeń chciały „dumę świata” — kraj wyzwolonego człowieka. Starły się z sobą stare i nowe pierwiastki życia, zwarły się w zaporach śmiertelnych... walka trwa, trwa do tej chwili i nie prędko nastąpi jej rozwiązanie.

Mimo że walka ta znaczy szlaki przyszłego naszego życia narodowego, nie ogarnia ona całego społeczeństwa. Ścierają się z sobą świadome celów mniejszości, reszta patrzy na tę walkę ze zgrozą szczerą lub udaną, albo gdzieś po kątach obojętna na wszystko, uprawia swą pogoń za chlebem, pasorzytuje, wegetuje, zamiera, odradza się.

Jesteśmy społeczeństwem, które przez dziesiątki lat pozbawione było wolności politycznej. Jesteśmy narodem, który w swej ogromnej części przestał żyć politycznie, gdyż przestał odczuwać zależność ukształtowania losów narodu od woli jego członków. Życie społeczne stało się wynikiem jakichś ukrytych praw, gdzieś zdala od nas stojących.

I to przyzwyczajenie niewoli uczyniła reakcja głównym narzędziem swej walki. Z tego przyzwyczajenia rodzi się bowiem ta zgroza wobec walki społecznej, to lekkomyślne, płytkie potępienie rewolucyjnych nowych dążeń, to pragnienie spokoju, umiłowanie ciszy, zastoju — stojącej kałuży własnej gnojówki. Reakcja chce utrzymać pęd nowych sił, reakcja obiecuje spokój. — Niech żyje reakcja! — Rewolucja płoszy sen spokojny, zakłaca trawienie i tak już nie wiele treści mające, a więc: precz z rewolucją! — Precz ze zmianami! Niech powrócą dawne spokojne czasy! A że czasy stare powrócić nie mogą, że zatopiło je morze krwi i łez rozlanych przez wojnę — tego ślepoty niewoli i tępość umysłu nie dostrzegają.

Ślepoty... A dlaczegoż milczą wielkie duchy narodu? — Dlaczego w szeregach walczących niema tych, którzy orlim wzrokiem artyzmu przeniknęli

przyszłość narodu i odkryli nie jedną stronicę jego przyszlých dziejów?

Czy i na nich niewola wywarła swe straszne piętno i uczyniła niezdolnymi do życia w wolnym narodzie pełnią duszy?

Nie. — Oto dobitnie zabrzmiał ich głos, oto otwarcie stanęli w obronie walczących o wyzwolenie człowieka z pęt niewoli społecznej. — Usłyszeliśmy ich głos w oświadczeniu, złożonym na Zjeździe literatów. — W poczuciu swej odpowiedzialności za wypowiedane słowa, w poczuciu swej czynnej roli społecznej artystów, wyrazicieli duszy narodu i jego przewodników — padło z ust największych dostojników naszej literatury jasne słowo:

„Duch polski wolny nie jest, praca jest skrepowaną, ucisk i wyzysk człowieka przez człowieka trwają“

Wypowiedzieli to najwięksi literaci polscy. Zobowiązują te słowa do walki ze złem; zobowiązują do przeciwstawienia się uciskowi i wyzyskowi człowieka przez człowieka; stawiają literatów, podpisanych pod oświadczeniem, w szeregu walczących „świadomych swego powołania klas pracujących“. — A obecność ich w szeregach walczących, dzisiaj gdy lud pracujący rwie się do pełni życia, gdy zbudziły się w nim tłumione przez nadmierną pracę tęsknoty do piękna — bardziej jest pożądana niż kiedykolwiek. Dziś wielkie pole pracy stoi przed artystami otworem. Niech niosą w masy pracujące wytworzone przez siebie wartości, niech budzą i rozwijają siły duchowe mas robotniczych.

Z pracy tej pozostanie wielki plon. Masy robotnicze młodzieńcze, świeże wejda w świat życia kulturalnego nie tylko jako bierny element, przyjmujący owoce dotychczasowej kultury, wniosą one nowe pierwiastki, nowe wartości duchowe.

Witamy przeto przyłączenie się artystów do obozu walczącej o swe wyzwolenie pracy. Witamy z radością ich męski głos, który bije w zgnuśność, bezmyślność, bierność większości społecznej, który zmusza do określenia swego stanowiska po tej lub tamtej stronie walczących. Witamy ich z łam „Światła“ i wzywamy do współpracy z nami. „Światło“ winno się stać ich trybuną i ogniskiem.

Z. Z.



WYSPA ZAPOMNIENIA.

9)



ewnego dnia dotarł niespodziewanie nad wielkie jezioro i wpłynął radośnie w jego szerokie wody. Brzegi, ubrane kępami drzew, rozstały się i odbiegły daleko. Przed nim hen za wodą piętrzyły się góry.

Nagle słodki pogodny ten obraz zdjął go zdumieniem i przestraszeniem. Widział go już kiedyś w życiu, patrzył nań codziennie przez długi czas i zapamiętał na zawsze. Te same szczyty w niebieskawej dali, ta sama płaska zarośnięta wysepka na jeziorze. Te same zmurszałe kłody leżą nieruchomo na wodzie, ten sam znajomy cierpki zapach gnijącego drzewa. I tak samo, jak „teraz“, zachodziło słońce...

I znowu prawda obecnej chwili pomąciła się ze starym wspomnieniem. Zakołowały w głowie obrazy, zjawili się ludzie i zawiłe sprawy. Znowu zrosła się dusza jego z dalekim czasem i z dalszym jeszcze życiem, które hen gdzieś zostało, poza bezbrzeżnym oceanem.

Ożyły rzeczy zabite, rozmyślnie porzucone i umarłe. Usłyszał jęki cudze i własne. I poznał swojego djabła, który rządził jego losami, który mu radził, podszeptował i ciskał nim po świecie.

Męczył się i oczy zakrył rękami, żeby nie widzieć znajomych stron, gdzie kiedyś, kiedyś, on — ten sam, pod tamtym swoim imieniem... które też już nie było prawdziwe...

O wy, czasy nie do wiary i koleje życia! O ludzi, dobrzy i źli, cienie złudne i zdradliwieli... Gdzieście raz zniknęli i już zamarli — pocóż przychodzicie teraz?

— Ralf, przez naszą miłość cię zaklinam, obudź się, wydrzyj się! Powiedz nareszcie, co ci jest? Co taisz w sobie strasznego? Co ukrywasz przedemną? Przedemną! Czyż ty mnie już nie kochasz?

Patrzy długo, głęboko w jej miłujące oczy i dziwi się, że tak mu teraz obca. Nie poznaje w niej niczego: ani swoich szalonych pocałunków, ani lat spokoju, szczęścia i błędnego zapomnienia o wszystkim dawniejszym. Wszak przez nią to jedną się stało, że popróbowował znowu przymierza ze swoim losem. Jeszcze raz!

Jeszcze raz los go oszukał. Zdjął z niego pamięć po to, żeby po latach zwalić mu ją znowu z powrotem na barki żeby go przygiąć śmiertelnie do ziemi i młodzić.

Patrzy w płaczące oczy żony, słyszy jej rozpaczliwe błaganie.

Słyszy wołanie losu: — Dosyć! — Dalej żel! Ruszaj w świat!

Jak wytrawny aktor, uspakaja i tuli żonę, całuje syna, córeczkę, żegna ich czule, zostawia różne zarządzenia. Bo na dwa dni musi wyjechać z domu. Pilne sprawy czekają na niego w porcie.

Wyszedł jeszcze na werandę od strony jeziora, popatrzył ku górom, pogłaskał wiernego psa, uśmiechnął się do Lyttona, wiernego murzyna...

Gdy go żona odprowadzała na stację, był wesół, był serdeczny, był spokojny. Uściskał ją czule, widział ją jeno przez chwilę z okna wagonu. Pociąg ruszył. Opadł ciężko na siedzenie i poddał się. Był znowu we władzy losu.

Po dwóch dniach, usmolony i obdarty, pracował przy kołowrocie, dźwigając kotwicę na żaglowym szkunerze wielorybniczym „Treyannic“. Cały zadatek przepuścił tej nocy z nowymi kolegami i szumiało mu w głowie. Nie rozumiał jeszcze, co uczynił i co zamierzył, nie wiedział, gdzie odpływa i po co, zapomniał, że w chwili rozpaczy zaprzedał się w niewolę na całe trzy lata.

Zbliżał się dręczący moment, najgorszy z tych, które w sobie już znał i zawsze wyczuwał naprzód.

Czyż jest możliwym, żeby mógł powtórzyć się tak zdumiewająco rysunek gór? Jezioro? I wyspa kędzierzawa, jak pęk trawy, ciśnięty na wodę?

Lękał się obejrzeć poza siebie, na brzeg bo — ktoś to wie? Może stoi tam biały domek z wieżyczką i z tarasem od strony jeziora... A na tarasie siedzi Katty z dziećmi i patrzy teraz za nim, jak sunie po gładkiej toni. Kto wie — może nie było nic z tamtego jeno dręczący sen?... O wielki Boże...

Przypomina sobie mozolnie ostatni tamten dzień. Tak jest, zanim odjechał precz, po obiedzie wsiadł w łódkę, puścił się na jezioro. Pojechał sam jeden, żeby zagubić zły moment, przekłątą pokusę. A zatem...

Cóż to jest czas? W ciągu jednej sekundy przeżyć można lata. W jednym mgnieniu oka można polecieć na koniec świata i powrócić. Śnać już powraca. Wszak to była tylko chwilowa fantazja rozpaczy, myślenie w gorączce...

Ratował się, jak mógł i pogrążał się coraz to głębiej w nierozwikłanej sieci. Poplątała się w nim sieć pamięci. Zagubił się cały w nieprawdopodobnych kolejach swoich. I pamiętał wszystko a nie wiedział o sobie nic.

Trwał w przerażeniu, w obłędzie myśli kołujących bezsilnie. Łagodny prąd niósł jego łódź po jeziorze. Łódź roztrącała spokojną toń i nieznacznie, chybotając się, zbliżała się do środka jeziora, do wyspy. Wsunęła się z szelestem w trzciny nadbrzeżne i stanęła. Jorg wsłuchał się w ciche głosy trzciny, które opowiadały szeptem o dziwacznych życia.

Słuchał chciwie tęsknego poszumu trzciny, jak gdyby odgadywał i rozumiał mowę wszechstworzenia. Tajemnymi drogami przenikała do jego ludzkiej duszy przedwieczna mądrość świata, jedna i jedyna dla wszystkiego, co żyje. Zatracił ją człowiek i jeno w mętnej przeczuciu, w nieodgadnionym wrażeniu, w chwili jakiejś i na jedną chwilę dobiega i do niego tchnienie tajemnicy stworzenia, tajemnicy istnienia, tajemnicy śmierci.

Zwolna, opornie układały się i przychodziły do ładu wzburzone myśli. Prostowały się drogi, wiodące do rozumienia siebie. Pierwsze światelko zapaliło się i rozpraszało mgłę.

Wreszcie wydarł się z opętania, odetchnął głęboko i oprzytomniał. Zachodziło słońce. Wylądował na wysepce i gotował się do noclegu. Spragniony był snu i spoczynku. Rozłożył ogień, zawiesił na nim swój kociołek i wszedł między drzewa.

Mroczyło się już pod zbitym sklepieniem liści, tylko kilka ostatnich promieni słońca przeszływało daleko gęstwinę strugą czerwieni i złota.

Stały w głębokim cieniu sękaty pogarbione pnienie. Obalone, gnijące kłody umarłych drzew zasłaniały ziemię. W cierpkiem, dusznym powietrzu ział niezdrowy upał. Było tu martwo i cicho, jak w grobowej kaplicy.

Gdy oczy po jasnym dniu oswoiły się z ciemnością, pnie drzew i kłody próchna zaczęły się mienić i drgać. Coś niewysłowionego żyło tu potajemnie wśród głuchej martwicy. Niewyraźnie, chwiejnie wyłaniały się zewsząd przyćmione zarysy, przyćmione barwy. Jak tęskne westchnienie, budziły się i gasły jakieś widziadła, pełzały po pniach, wznosiły się i ginęły pod ciemnym sklepieniem liści. Stały się pod nogami, połyskiwały martwo w oddali, chwiejne, nieuchwytne. Ktoś tu szeptał niedosłyszalne słowa, od których wiał niepokój przecucia.

Nagle promień słońca przedarł się i smugą złota lunął w ciemne wnętrze; Jorg wznosił ramiona w ekstazie i znieruchomiał.

W jednej chwili zagasła w nim pamięć o sobie. W jego uniesieniu nie było śladu czegoś własnego. Zespałał się z tajemnicą, wrastał całą swą istotą w cud niezgłębionego piękna.

Czarne odziomki drzew i zwały próchna okryły się, jak czarem, rojami kwieciami, bujną rozrastającą się w zapamiętaniu pajęczyną węzowatych łodyg, rostrzępionych gałązek, rozwartych kielichów.

Nikłe, zanikające, nieuchwytne były wokół ich półbarwy, odcienie i gasnące odbłaski, jak złowroga poświata próchna po nocy. A w promieniu słonecznym mieniły się, jak bezcenne kamienie, sypały iskrami, odurzały bogactwem.

Wyłaniały się z natłoku drgające, wątłe ich gałązki, unizane klejnotami, misterne, zawile, potworne.

Wikłały się ze sobą, splatały się w pęki i girlandy, wychylały się zewsząd niewyczerpane, coraz to inne, coraz to wspanialsze. Z nieprzebranej mnogości ich odmian i postaci wystrzelały dziwy, zagadki, widma.

Zwiszały na giętkich sztykach głowy różnobarwnych potworków. Z gęstwiny szarych swych liści patrzyły na człowieka ze zdumieniem ich zdumiewające oblicza.

Dyszały żarem rozchylone purpurowe wargi, obnażały się bezwstydnie symbole najtajniejszych chuci. Wołały do sażu, do rozpętania. Kusily i same drgały od żądź.

Roztwierały się szeroko kielichy ze złota — srebra, z ametystu, z onyxu, z koralu, zwieszały się ciężko-baniaste amfory, rzeźbiły się konchy tęczo-barwne.

Roily się kwiaty widma, tłoczyły się i przera-

stały się nawzajem. Prześcigały się w przepychu, prześcigały się w barwie, w niesłychaności.

Kędy spojrzeć wyglądały z cienia tysiące ich postaci, odmian, powikłań. Promień zachodzącego słońca przesuwiał się po lesie, odkrywając wciąż nowe ich gniazda. Wyrastały, nieprzebrane, męcząc oczy wciąż rosnącą nawałą dziwów. Przerażało ich rozpasane bogactwo. W dusznym, gorącym powietrzu, w tej pieczarze cudów zdawał się grzmieć hymn na cześć szatańskiej władzy piękna.

Nagle zgasł promień słońca.

Zagasły natychmiast barwy, kształty, znikły dziwy. Uczyniło się ciemno i straszno. Bił złowrogi urok od niewidzialnych, wszędzie wokół obecnych kwiatów. Potężniej zagrzmiał i uderzył w duszę ich mroczny hymn.

Jorg stał wśród ciemności, zasłuchany w ich tajemną mowę, których nasiona rzucił tu siewca życia bez celu, bez pożytku. Wywołał z nicości cud na to, żeby istniał na wieki sam dla siebie i dla nikogo na ziemi. Ukrył go na tajemnej nieznannej wyspie pośrodku pustyni wód. Zamknął go w mrocznej krypcie na dalekiem, cichem jeziorze.

— Co wy jesteście? po co jesteście, wy, kwiaty przepiękne i złe?

— Jesteśmy jak wszystko, co jest. Jak słońce. Jak piorun. Jak morza i góry. Jak wąż i jak motyl. Jak jesteś i ty — który nas pytasz — człowieku!

Jorg odchodził z zaczarowanej kniei i błędząc po ciemku, deptał kwiaty i gniótł je wokół, ocierając się o niewidzialne drzewa. Wraciał na brzeg jeziora, ku miejscu, gdzie gorzało jego ognisko. Powracał do siebie. Przed chwilą dostrzegł coś w sobie, dogonił nareszcie jakąś jedyną myśl, która zwozdiła go przez długie lata i wymykała się zawsze. Ta nowa prawda była prostą i jasną jak wszelka zagadka stworzenia.

— Czemu?

— Po co?

— Dlaczego tak?

Już nigdy nie zapyta więcej.

Na skraju lasu zatrzymał się i obrócił się ku ciemnej głębi. W zamkniętym skarbcu cudów rozniecały się już chwiejne, nikłe odbłaski. Białe zarzewie biło łuną od zwałów próchna, jak światło ofiarne w świątyni tajemnic. Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MOCNIEJSZA NIŻ ŚMIERĆ.

Dziwnie miłość wyrasta ponad życie i dziwnie sąsiaduje ze śmiercią. (Tak myśle).

Jesień późna i wietrzna zastała nas, mały oddział wojska, w opuszczonej ruskiej wsi, o kilka wioś od bojowej linii. Był to właściwie wydmuch piaszczysty, wyłoniiony trafem wśród pól i łąk, dobrze podmokłych. Daleko—las. Blisko cmentarz. Szara sypka droga opasywała go z dwu stron, poczem odbiegała w zagajnik sosnowy, który brnął przez bagno i piach kępami drzewin ku ścianie lasu.

Niby cienie żałobne, uchodzące z mogił...

Rosły te mogiły i rosły w miare, jak huk bitwy tętnił po widnokręgu. Tam ktoś błyskał i bił, a tu w takt owego bicia sypano świeże grzedy żółciutkięj ziemi. Chowano legionistów, Niemców, Austriaków, Moskali,—co los zdarzył. Szedł sobie każdy do dołeczka poniewoli, niesiony ramieniem kolegów, w trumnie, albo i bez. Mówiono o ojczyźnie, strzelano... Nie płakał nikt. Kończyło się życie, jak to słowo nadgrobnie, leciało na wiatr. W przepaść oddali. I zdawało się nam, patrzącym na to, że już nic poza wojną nie istnieje. Wszystko sen. Rzeczywistość jedyna w ogniu i dymie wojennym; w cierpieniu, nędzy i śmierci, i może jeszcze — w cmentarzu, rosnącym poza pierwszą linią okopów, za naszymi plecami...

Pewnego dnia, rankiem, żołnierze Austriacy zaczęli rozkopywać jeden z grobów. Chodziło o wydobycie zwłok kapitana, i o przewiezienie ich do Wiednia. Opowiadano, że nieboszczyk pochodził z rodziny znakomitej, która wieczny sen spędzać raczy w katakumbach i sarkofagu, nie w szczerym piasku.

Zeszliśmy się przez ciekawość, jak też wygląda trup po paromiesięcznym pobycie w ziemi. Właśnie wydzwigano trumnę na wierzch. Na żołnierzy, stojących w dole, pod trumną, zsuwał się z szelestem piach. Szelest ten miał w sobie coś przeraźliwie zachłannego a jednocześnie cierpliwego jak wieczność. Biała z gładko struganych desek skrzynia zawarta była płaskim wiekiem. Podwarzył je żołnierz siekierą, aż zgrzytnęły gwoździe, i odłupał. Poczuliśmy smród pierwej, nim uniesiono zupełnie pokrywę.

Ciemny trup w głębi. Woskowa twarz z wyciągniętym sępiem nosem. Policzki i wargi wkleśły przy-schnięte. Oczy zapadły w czaszkę, jakby wpatrzone w wewnątrz, w to, czego nie widzi zwykły żywy wzrok. Miejsce od skroni i wyniosłego, pięknego czoła do uszu i powiek oblepił jasny puch pleśni, niby grzyb zgnilizny na pniu. Mundur, obejmujący ciało, pomarszczył się nienaturalnie i pokurczył. Sztywne dłonie, których palce napewno usiłował towarzyszy wierny szczepić po chwili śmierci, kiedy były już zimne do cna, rozplotły się pod wpływem gnicia i sterczały ostatnim bezradnym gestem.

Odbiegłem od tego widoku i stanąłem opodal. Nie mogłem dłużej... Widziałem trupy, leżące pokotem w sandomierskiej pszenicy, i widziałem napół zwęglone w spalonych chatkach wsi, zamienionej w re-dutę, i w rowach strzeleckich przysypane tak, że wystawały ręce jak rozpacz i krzyk... I teraz to... Gromada żołnierzy, a więc ludzi przeznaczonych na śmierć, zacierzała do trumny i oglądała człowieka umarłego...

Nie mogłem... Poraziła mnie dziwnie siła śmierci, jej moc sama w sobie, bez patosu i bohater-

wa, jej działanie nadziemne i podziemne, tak nieodwołalne i konieczne, jak oddech. Może zresztą sama śmierć jest oddechem wieczności, zdmuchującej życie poszczególne ze spokojem bezmiarów...

Wionął zapach łąk i dymu i mgieł. Z cmentarnych brzoź opadały ciężko liście, które pozłociła jesień i zwarzyły nocne przymrozki. Wiatr podrywał —jak w powieści—opadające złoto brzoź i miotał je tam i sam, dokoła. Stało się na krótko bardzo cicho, bo nawet grzmoty bitewne umilkły. Tylko te ogołoczone drzewa i niemy szept... Nasłuchuje ktoś i ktoś zaczajony stąpa...

I wtedy ten płacz kobiecy...

Prowadził ją pod rękę stary generał. Czarny nieprzenikliwy woal osłaniał twarz i całą postać prawie do stóp. Nie można powiedzieć, żeby szła, choć zbliżała się przecie. Wreszcie uklękła przy skrzyni, osunęła się do nóg trupa i, zarzuciwszy woal w tył przez ramię, spojrzała.

Biała była jak opłatek i bardzo młoda. Już nie płakała. Nawet uspokoiła się znacznie. Żadnego łęku, przerażenia ani wstrętu. Patrzała na oszeponą głowę nieboszczyka inaczej, niż my, jak patrzeć zwykli ludzie mądrzy, albo tacy, co naprawdę kochają. Długo — długo. Cisza ust i oczu. Tylko dłonie maleńkie w czarnych skórkowych rękawiczkach, wsparte dotąd nieruchomo o krawędź trumny, opadły nagle w dół i stamtąd, niby z pod kolan, uniosły ogromną wiązanek róż białych i czerwonych. Chwilę kołysały się te róże w czarnym wazoniku z dłoni między nią a nim. Oczy kobiety przegłądały każdy kwiat i naraz wypełniły się łzami. Bukiet powoli spoczął na piersi trupa w rozwarciu bezradnym jego rąk. Białe i czerwone róże... Jedna, czerwona, dosięgła cudnym przypadkiem ust zmarłego i okryła szpetotę pośmiertną wkleśłych warg. Wyglądało tak, jakby łądzkę kwiatu zacisnęły żęby w jakimś milczącym upojeniu szczęściem. Twarz przez to dziwnie się przeobraziła i niemal ożyła.

Wpatrzona w nią kobieta, pelzać poczęła na kłęczkach od nóg trupa do głowy. Dłonie sunęły po krawędzi skrzyni, sunęły cicho, żeby nie spłoszyć. Nieme usta zadrgały. Jakieś słowo dziwne, pamiętne dla obojga, jedyne próbowało zejść — i nie mogło. Aż głowa żyjącej upadła na głowę zmarłego i buchnął płacz niepowstrzymany...

Staremu Generałowi łzy kapały na wąsy...

Nieznajoma, zupełna — okrutna żalność gnała mnie w pole. Szedłem na przelaj, niejako przez samą jesień, do lasu. Z dala, na linii, pomrukiwa znów bój. Uśmiechałem się teraz i myślałem o potędze serca ludzkiego. Wiedziałem, że kiedyś serce ludzkie przełamie fronty, zdusi wojnę i nawet zwycięży szalejącą śmierć.

Wacław Budzyński,



WIOSNA.

O, ty wiosno, coś odeszła w dale,
ty, błąkanie po kwitnącym sadzie,
ty, zdumiony i radosny szale,
gdy na pola zmierzch płachtą się kładzie

O, ty wiosno, żalosne czekanie,
pod wiśniami, wiśniami wonnemi,
o radości krótkiej rozmyślanie
długą nocką, świtami rannemi.

O, ty wiosno, niebaczne kochanie,
takie nagłe i takie porywcze,
już twój urok z grobu nie powstanie,
już umarły twe moce ożywcze.

Wy pachnące fijołkami zmierzchyl
W mrocznym sadzie purpurowe cienie!
jak wy szybko, jak bez śladu pierzchły,
jak słowiczej pieśni uniesienie.

Ach, bo wiosna, jedną chwilą w życiu,
Że świat cały ze szczęścia przystaje,
radość tętni nawet w serca bicu,
taka wiosna — jedną chwilą w życiu.

H. Dembowska.

miało inną przyczynę: zeszłego wieczoru, gdy powracała zmęczona do domu, widziała w omnibusie męża z jakąś kobietą pod rękę. Na ten widok zapłonała cała... Obciążona dzieckiem i koszykiem, pospieszyła za omnibusem, który jednak tak szybko pędził, że niebawem pozostała daleko w tyle...

I długo jeszcze siedząc przy kominku, widziała go z tamtą kobietą. A gdy ogień zgasł, legła do łóżka, nie zmruczając oka, zapatrzona, zasluchana, dygocąca.

A więc po to ją porzucił... Czy ona to ścierpi...

W ten sposób, leżąc bezsennie, przekładała sobie wszystko z możliwą trzeźwością.

Pokój się rozjaśniał, wstała, i zbliżywszy się do małego, potłuczonego lusterka, przeglądała się w nim długo.

Może kiedyś wiedziała, że jest urodziwa, ale życie, jakie pędziła z mężem, często źle traktowana przez niego, zawsze nędznie ubrana, przeważnie w niedostatku — pozbawiło ją tej świadomości.

Kobieta, którą obejmował, była uosobieniem zdrowia i miała pióro na kapeluszu.

I w swym lusterku pragnęła z rozpaczliwym wysiłkiem znaleźć coś, coby się mogło przeciwstawić pełnym policzkom i puszystym piórom tamtej. Aliści zdało się, że pozostały jej tylko oczy, policzki straciły barwę, smutek wyglądał z lustra. Mało pocieszona tą próbą, rozpałała ogień, wyjęła dziecko z łóżka, by je nakarmić.

Siedząc z obnażonymi nogami przy ogniu i czując dotknięcie ust dziecięcych na piersiach, doznała po raz pierwszy wrażenia ciepła od chwili, gdy złowrogi omnibus przejechał. Nieświadomie, ale z całą mocą usiłowała ucześcić się czegoś, coby stłumiło uczucie zazdrości. Nagle błysnęło wspomnienie, które niemal sprawiło jej przyjemność.

Ubiegłego wieczoru jakiś „facet“ wszedł do jej kwaciarni i kupił zwyczajną wiązaną fijołków za pół korony. Dlaczegoż uśmiechał się do niej? i czemu dał jej aż pół korony?

Z każdym pociągnięciem ust dziecięcych wrażenie ciepła wzrastało, a wraz z nim budziło się pewnego rodzaju wzruszenie. Nie obdarzały ją uśmiechami tak natarczywie, gdyby jej nie uważał za ładną.

Ale nagle usta dziecięce przestały ssać i uczucie wzruszenia zamarło.

Otuliwszy dziecinę w chustkę złożyła ją napowrót do łóżeczka; poczem zagrzała trochę wody i zaczęła się myć z niebywałą dokładnością. Namietnie pragnęła być piękniejszą, aniżeli tamta kobieta z piórami na kapeluszu. Żaden „facet“ nie uśmiechnąłby się do tamtej, chociażby nie była zmuszona zastawić swe suknie.

Wyczerpana myśleniem, płonąca zazdrością, pospiesznie poczęła przeglądać swe odzienie. Na dwóch gwoździach wisiała cała jej garderoba — obszarpana spódnica, podziurawione trykoty i czarny, słomkowy kapelusz. Włożyła halkę, mierząc wzrokiem ten lichy przyodziewek i stopniowo poczęła zdawać sobie sprawę z ironji, jaka tkwi w jej życiu. Przed trzema tygodniami „oddała“ swą najlepszą suknię za trzy korony aby zamiast zniszczonych przez deszcz kwiatów kupić mężowi nową kolekcję. Zastawiając wszystkie swoje stroje dała mu tem samem sposobność ugania się za tamtą kobietą!

ZEMSTA.

JOHN GALSWORTHY.

Poruszeniami nóg dziecka została przebudzona; wyprostowała je na swych piersiach i legła, zapatrzona w brudny sufit. Pierwsze światło poranku marcowego wnikało bladymi promieniami do wnętrza małej izdebki przez okno, zasłonięte u dołu obdartym kawałkiem muszliny. Podobnie, jak wszystkie tylne pokoiki tej ulicy — tak i ten pokój nie widział nigdy szczęścia. Pozbawiony był również wszelakiego piękna i rzeczy, mającej jakkolwiek wartość, z wyjątkiem brzoźowego kosza, pełnego fijołków.

Pod wpływem ciepła piersi i ramion matczynych dziecko znów zasnęło z nakrytą główką, wtuloną w ramionka, a nad tą główką widniało oblicze matki, podobne do małego sfinksa.

Przed dwoma dniami mąż ją opuścił i powiedział, że nie powróci; nie przerażało to jej bynajmniej, albowiem, wiedziała dziwną mądrością ludzi, co za młodu zaczynają cierpieć — oddawna już rozważała wszystkie korzyści, wypływające ze współżycia z nim, lub życia bez niego.

Zawód kwaciarki dawał jej więcej zarobku, aniżeli jemu, bo często jakiś „facet“ płacił jej bajeczną sumę, widocznie poruszony wyglądem jej zmęczonej, ładnej twarzy i młodej figury, przegiętej ciężarem dziecka. Przynosiła więc do domu więcej, aniżeli mąż... A zresztą dwa razy już ją porzucił w ten sam sposób i dwa razy powracał. Wzburzenie uczuć

Zbliżyła się do skrytki, gdzie chowała całe swoje mienie i wzięła jeden z biletów zastawnych, poczem z wyszczerbionego kubka, gdzie pod obdartą szmatą chowała pieniądze — wyjęła otrzymane pół korony i jeszcze 50 ct. Cały jej majątek.

Pozatem, winna była za tydzień komornego. Rozejrzała się po pokoju.

Wszystkie jej rzeczy zastawione były w lombardzie, nic nie pozostało, oprócz jedynej chustki, niewiele wartej. Brakło jej jeszcze pięćdziesiąt ct. na wykupienie kostjumy. Zbliżyła się do kosza z kwiatami i podniosła kawał brudnego płótna. Wiązki były powiędnęte. W uniesieniu i podnieceniu wczorajszym zapomniała je podać.

Usiadła na łóżku i przez kwadrans pozostała bez ruchu. Z bladą przyplaszczoną twarzą o czarnych oczach i zaciśniętych, malinowych ustach podobna była w tej chwili do sfinksa, bardziej, niż kiedykolwiek.

Nagle zerwała się, zdjęła halkę i zbadła ją. Nie było w niej wcale dziur. Owinąwszy ją mocno w chustkę, nałożyła spódnicę i trykot, przypięła kapelusze do zwoju czarnych włosów, zabrała bilet zastawny i pieniądze i przez brudne schody zeszła na dół. W zimno i słotę odbyła swą zwykłą wycieczkę do lombardu, centrum jej świata.

Nikogo nie zastała, czekała, stępiona wśród tych niezliczonych rzeczy, z których każdą przynoszono tutaj zawiniętą w materję ludzkiego życia. Po chwili rzucił na nią okiem właściciel lokalu przez szybkę wewnętrznych drzwi. Był to ciemny, silny mężczyzna. Byстрыm, twardym wzrokiem natychmiast wskazał na jej chustę. „Miałem to już u siebie, o ile mię pamięć nie myli“ — mruknął. „Koronę pięćdziesiąt, prawda?“

Wydobył halkę z ukrycia, oglądał ją krytycznie; była bardzo skromna, bez falban i ozdób, ale zadziwiająco nowa.

Sześćdziesiąt centów za to. Dziesięć odchodzi za pranie. Przy wykonaniu tej transakcji coś go tknęło, dorzucił pobłażliwie: „Daruje Pani, za pranie“. Milcząco wyciągnęła ku niemu drobną, szorstką rękę i podała mu pieniądze z biletami zastawnymi. On zbadł jedno i drugie i rzekł: „W porządku. Pani dostaje odemnie jeszcze dziesięć centów“.

Z dziesięcioma cent. i z kostjumem poszła do domu. Włożyła kostjum na spódnicę i trykot ze względu na chłód, i myśląc o tamtej kobiecie z pełnemi policzkami. Stała parę minut, przyglądając włosy i rozcierając zziębniętą twarz. Poczem pozostawisz dziecko u sąsiadki, wyszła na drogę, gdzie omnibus przejeżdżał. Serce jej pałało żądzą spotkania tej kobiety, zemszczenia się na niej i na nim.

Przez cały poranek chodziła tam i z powrotem, Od czasu do czasu jakiś chłystek zaczepiał ją i starał się wszcząć rozmowę, ale niebawem odstępował, jakgdyby coś w jej twarzy zabijało jego dobre zamiary.

Za resztę pieniędzy kupiła kiełbasę i zjadła ją na poczekaniu. Powróciwszy do domu, nakarmiła dziecko i ponownie wyszła na drogę. Minęło już dawno południe, a ona wciąż jeszcze krążyła tam i z powrotem, pobudzana przez tę żądzę zemsty, od czasu do czasu obrzucając uśmiechami napotykanym mężczyznom. Co właściwie uzyskać chciała przez te uśmiechy, Bóg raczy wiedzieć, wszakże pozostawały bez odpowiedzi, albowiem pozbawione wesołości, uosabiały smutek. Pomimo to sprawiały

jej te uśmiechy dziwną przyjemność, jakgdyby czuła, że one przecież pomagają jej w zemście.

Silny wiatr spędził chmury nad niebieskiem, jasnym sklepieniem nieba, a w tym wietrze paki i krokusy w ogrodach dygotały. W niektórych miejscach dolatywało gruchanie gołąbków, a wszyscy ludzie wydawali się opromienieni szczęściem. Atoli dla młodej kobiety, która bezustannie krążyła po drodze w wyczekiwaniu na omnibus — wiosna nadaremno przenikała powietrze.

O piątej godzinie, pchnięta znów jakimś niewyraźnym instynktem zemsty, skierowała kroki w stronę białego domu, dokąd „facet“ z wczorajszego wieczoru wchodził. Po długim wahaniu, pociągnęła za dzwonek, poczem nieśmiało zapytała głosem ochrypłym od wielu przeziębień, nabytych przy sprzedaży kwiatów — czy może się widzieć z panem. Podczas, gdy służąca poszła zapytać pana, kobieta pozostała w przedionku. Wisiało tu lustro, ale nie przejrzała się w niem wcale, stała zupełnie spokojnie, ze spuszczoneymi oczami.

Zaprowadzono ją po chwili do jasnego, ciepłego pokoju. Czegoś tak niezwykłego nie widziała jeszcze; doznała wrażenia, jakby postawiono przed nią talerz z przewybornem ciastem świątecznym. Ściany były białe i białe meble, kotary z brązowego pluszu i obrazy w złoto oprawne.

Weszła do pokoju, uśmiechając się podobnie jak przed chwilą do mężczyzny z ulicy, lecz niebawem znikł uśmiech z jej ust. Na kanapie siedziała jakaś pani w białej sukni. Już chciała zawrócić i odejść, w obawie że oni wiedzieć muszą o tem, że nie ma halki pod nowym kostjumem. Pan poprosił, by usiadła, co też uczyniła; a w odpowiedzi na pytania wyłożyła mu, że jej kwieciana jest zniszczona, że dłużną jest za tydzień komornego, i że mąż porzucił ją i dziecko; podczas opowiadania czuła jednak, że nie to miała zamiar powiedzieć, a oni wciąż zadawali te same pytania, jakgdyby jej nie rozumiejąc. Nagle opowiedziała im, że mąż poszedł z inną kobietą. To wywarło wrażenie na pani, która lekko westchnęła na znak zrozumienia i współczucia. Następnie dorzuciła jeszcze, w jaki sposób ich dostrzegła w omnibusie, nadmieniając jakie małe uszy ma tamta pani. Pan był zakłopotany, nie wiedząc w czym mógłby jej dopomóc; a może pragnie opuścić męża? „Oczywiście nie mogłabym teraz żyć z nim razem“ rzuciła raptownie, a pani szepnęła: „Nie, nie naturalnie, że nie!“ A zapytana co wobec tego zamierza uczynić, odparła milczeniem, utkwivszy wzrok w dywan. Nagle zdawało jej się, że oni myślą sobie: „Przyszła po pieniądze“, Pan wyjął złotą monetę i zapytał: „Czy przyda się to Pani?“ Skłoniła lekko głową, wzięła złotą monetę, ścisnęła ją mocno w dłoń. Odniosła wrażenie, że mają jej dosyć, to też powstała, skierowując się ku drzwiom. Pan odprowadził ją, a gdy otwierał drzwi frontowe, uśmiechnął się; nie podziękowała mu uśmiechem, zauważyła bowiem, że to już nie ten sam ugrzeczniony uśmiech wczorajszy. I to ją zabolowało, jakgdyby nagle wymknęło się coś z projektowanej zemsty.

Poszła do domu z dukatem w rękę. Osłabienie i wstrząśnienie było tak silne, że z trudnością nakarmić mogła dziecko. Było już po szóstej i niemal ciemno... Dwa poprzednie razy powrócił do domu na trzeci dzień, mniejwięcej o tej porze. Gdyby teraz właśnie miał powrócić...

Przysunęła się bliżej do ognia. Ściemniało zupełnie... Spojrzała na dziecko: spało z drobnymi, zaciśniętymi piąstkami przy policzkach. Dorzuciwszy do ognia, powróciła na swe miejsce wyczekiwania. Dwuch albo trzech mężczyzn zaczęło ją, ale że nie uśmiechała się już do nich wcale, więc zaraz odeszli.

Na dworze było jasno i bardzo zimno, wszakże ona, — zapatrzona w owe wagony, pełne ciepła, — zimna nie odczuwała. Zdaleka jeszcze śledziła każdy zbliżający się wagon i długo potem, kiedy już przebrzmiał jego turkot, śledziła jeszcze. Ale czatowała nadaremno. W samym zgiełku, przerywanym chwilami ciszą, w samym ruchu, rozgwarze, zamieszaniu, w tej obfitości światła i cieni, z rozpaczą w sercu pomyślała o swem dziecku i czempędzej skierowała kroki do odejścia.

Dziecko jeszcze spało, ogień dogasał. W ubraniu wsunęła się do łóżka, szalenie wyczerpana.

W tajemnicy snu, z czarnymi lokami, opadającą na policzki, z nawpół rozwartymi oczami, podobną była do sfinksa, bardziej niż kiedykolwiek na jawie. We śnie załamywała ręce i jęczała. O północy przebudziła się. Przez światło wciąż płonącego ognia spostrzegła swego męża przy łóżku, nie mówił do niej, ani na nią nie spojrzał, poprostu siadł przed kominkiem i zaczął zzuwać swe buty. Widok tej codziennej czynności doprowadził ją niemal do szału. A więc wraca, kiedy mu się podoba, i skąd mu się podoba, o nic nie dba ten... Ale nawet nie pisnęła, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, na wyrażenie swego oburzenia. Po całych trzech dniach, po tem wszystkim, co widziała, po nieskończonem wyczekiwaniu i czatowaniu i po tej męce cierpienia, on śmie zzuwać buty! Cichaczem powstała z łóżka, aby lepiej obserwować tę jego czynność. Gdyby otworzyła usta, to tylko po to by wrzasnąć, ale krzyk nie mógł już ulżyć jej sercu. A on wciąż trwał w milczeniu i nie spoglądał na nią. Widziała jak się zsuwa z drewnianego krzeselka, jakgdyby wprost do ognia. Bodajby się spalił, ten...! Brzydkie słowo zabłysnęło w jej mózgu i tam się zatrzymało. Widziała teraz jego postać, zwałoną jak wór, słyszała zgrzytanie zębami i dźwięk ten sprawiał jej przyjemność. Po chwili zamilkł i ona również zaparła oddech. Czy śpi? Myśl o jego śnie, podczas

gdy ona leży, trawiona oburzeniem, przechodziła jej siły. Syknęła ze złości. Nie spojrzał ku niej, noga jeno poruszył; popiół w kominku opadł i znów zaparowało milczenie.

Powlokła się do podnóża łóżka. Z wygiętymi biodrami, z twarzą pochyloną między rozpostartymi ramionami, dotykała niemal jego rozwalonej postaci, mogłaby schwycić go i w tył głowę pociągnąć. W wyobraźni dokonała już tego. Wlepiwszy weń oczy, wpiła się zębami w jego czoło, tak gwałtownie że uczuła smak krwi w ustach. Nagle opamiętała się skryła twarz między ramiona, na obdartej kołdrze. Przez parę chwil stała w tej pozycji, skulona jak kot na gałęzi. Przerząliwy ból nią miotał.

Myślała o pierwszej nocy, kiedy powracali do domu, do tego pokoju, przypomniała sobie jego całusy, coś ją chyciło w gardle. Minęła już żądza zemsty, Podniosła twarz. Nie drgnął. Widziała zarys jego policzków bródki, bez zarostu, jak u chłopczyka. Leżał zupełnie spokojnie, jak nieżywy.

Zadygotała z zimna i strachu. Co oznaczało to milczenie? Nie słyszy jego oddechu... Zsunęła się na podłogę. Miał otwarte oczy, niemal bezbarwne, wpatrzone w zamierający ogień, policzki zapadnięte, usta bez kropelki krwi, jeno drgające rozpaczliwie. A więc żyje! Tylko zmarznięty i wygłodzony.

W takim stanie powracał do niej dwa ubiegłe razy. Maską na jej twarzy nie pozwalała dojrzeć jej myśli i uczuć, zęby wpiły się w dolną wargę. Oto w takim stanie powraca do niej ponownie!

Ostatnie iskierki w kominku prysnęły. Odwrócił głowę ku niej. Przez światło słabego ognia, oczy jego były podobne do ocząt jej dziecka i zdały się prosić o coś. Tyle w nich było niemocy, w tych oczach i w tej nieszczęsnej postaci! Wyjęknął coś, ale nagły deszcz przytłumił słowa, tak, że tylko dośłyszała jakieś słabe dźwięki, podobne do głosu jej dziecka. I na ten dźwięk załamało się coś w jej sercu, ujęła jego głowę na piersi i całą siłą przyciągnęła ku sobie, a gdy ogień zagaśł, ona wciąż leżała jeszcze, trzymając go w objęciu, kołysała go i wśród szlochów, ponownie starała się obdarzyć go ciepłem swego drobnego ciała.

Tłum. Magdalena Langerowa.



WIEDZA O WSZYSTKIEM.

Nauka o człowieku.

Na jednym ze swych wspaniałych fresków Michał Anioł przedstawił stworzenie człowieka. Dźwiga on się z materji — ze skały, z którą zdaje się tworzyć jedną całość; dźwiga się powoli, w ociężałych ruchach jego wspaniałe zbudowanego ciała, przebija trud wysiłku, którym po raz pierwszy kieruje świadoma wola — wysiłek dźwignięcia się na wyższy szczebel swego rozwoju — człowieczeństwo.

Dzieje ludzkości—to dzieje dźwigniania się człowieka na coraz to wyższą stopnie poznania i twórczości. Są to wysiłki powolne całych pokoleń trwające tysiąclecia — nieprzerwany łańcuch trudów i ofiar budujących przyszłość. Dzieje ludzkości obejmują cały ogrom zagadnień życia człowieka, jego dążności do poznania i opanowania otaczających go warunków przyrodniczych, rezultatem których jest współczesna nam cywilizacja z całą mnogością wynalazków i ulepszeń technicznych, wprost przewrotowych.

Ta dziedzina udogodnienia życia pod względem materialnym nie wyczerpuje jednak całego bogactwa natury ludzkiej. Umysł człowieka już na najniższych szczeblach rozwoju sięga daleko poza granice świata ziemskiego w bezmiary kosmosu. Dążenie to do przeniknięcia Nieznanego wytwarza pierwotnie mało zróżnicowane: religję, sztukę, filozofję, za pomocą których usiłuje rozwiązać wielkie zagadnienia bytu.

Dzieje kultury i cywilizacji obejmują całokształt wysiłków ludzkości, rezultatem których jest takie, a nie inne ukształtowanie naszych myśli, wierzeń, stosunków społecznych.

Pochłonięci aktualnością, przemożnym wpływem rozgrywających się w naszych oczach wielkich wypadków dziejowych, gorączką życia współczesnego, mało wybiegamy poza teraźniejszość, w niej, lub też w niedalekiej przeszłości szukając przyczyn, oraz wyjaśnień zastanawiających nas zjawisk, w najbliższej zaś przyszłości spodziewamy się urzeczywistnienia naszych pragnień i idei.

Chcąc jednak zrozumieć w całej pełni chwilę obecną i naszą rolę, jako jednego z ogniw łańcucha ludzkości, musimy sięgnąć w przeszłość. Śledząc krok za krokiem mozolne posuwanie się człowieka wciąż naprzód, ocenimy w całej pełni spuściznę pozostawioną nam przez mnogie pokolenia, zrozumimy iż idziemy z kolei dalej, dorzucając doń nowe wartości.

Poznanie swej własnej istoty, dróg jej rozwoju i stosunku do środowiska społecznego, przyrodniczego, a w dalszym ciągu uświadomienie sobie stosunku człowieka do wszechświata i wielkich zagadnień bytu jest dla każdej samodzielnie myślącej jednostki rzeczą konieczną.

Historja kultury i cywilizacji winna być obowiązkowo wykładana w szkołach. Niestety program obciążony i przeładowany szeregiem wiadomości drugorzędного znaczenia, nie obejmuje nauki najbliższej nam, a która stanowiłaby również naturalny łącznik pomiędzy poszczególnymi gałęziami wiedzy, wykazując ich wspólne źródło w nigdy niezaspokojonym dążeniu człowieka do przeniknięcia praw rządzących światem.

Poszczególne okresy dziejów człowieka dowolnie wybrane i traktowane jednostronnie, bynajmniej nie odpowiadają swemu zadaniu i nie zapełniają aż nadto widocznej luki wykształcenia szkolnego.

Przyczyny pominięcia tej nauki w dotychczasowym nauczaniu należy, przypuszczam szukać między innymi w stosunkowo późniejszym skryształowaniu się tej gałęzi wiedzy i w obawie by docieranie do najniższych form bytowania człowieka na ziemi, poruszanie historii powstania i rozwoju uczuć religijnych nie wywołało wobec wyznaniowości szkoły poważnego konfliktu z nauką religji, w tejsze szkole wykładanej.

Bogactwa te wiedzy o nas samych są jednak dla nas dostępne na drodze pracy samodzielnej. Mniejsze lub większe pogłębienie jej, szerszy lub węższy zakres będą ściśle zależne od pracy myślowej, w nią włożonej.

Ir. Sawicka.



IGNACY ŁOPIEŃSKI.



ztuka graficzna może być odtwórczą lub oryginalną. Artysta grafik, odtwórca dzieł, w innej technice stworzonych, ofiaruje niejako swą twórczą indywidualność dziełu, które skopjować zamierza. Zrzeka się on wszelkiej samodzielności o ile chce dobrze dane dzieło skopjować i dąży do jaknajściślej-

szego oddania wszystkich jego właściwości. Brak samodzielności, będący cechą ujemną przy tworzeniu rzeczy oryginalnych, staje się zaletą dobrego kopisty.

Wielką zasługą artysty, pewnego rodzaju, jak się rzekło, ofiarą z siebie, jest, jeżeli artysta nie pozbawiony zdolności do twórczości samodzielnej, oddaje swój talent, swą wiedzę techniczną, swą wielką subtelność w odtwarzaniu najdelikatniejszych form i tonów, twórcom innym, których dzieła uzna za godne spopularyzowania w graficznych odbitkach.

W tem zrzeczeniu się siebie istnieje pewne ciche piękno, tkwi w niem hold, oddany duchom wyższym, szlachetna, dumna pokora, nie wstydząca się uznać czyjejs wielkości i tej wielkości poświęcić swój trud, talent i wiedzę.

Artysta, który w tak szlachetny sposób umiał się poświęcać dla popularyzacji dzieł innych twórców, jest u nas Ignacy Łopieński, akwaforzysta, rysownik i medaljer. Kopje jego miedziorytnicze i akwafortowe z dzieł Matejki (bitwa pod Warną i portrety

Matejki, Bilińskiej i Gottlieba), są to arcydzieła odtwórcze o wielkiej ścisłości i subtelności rysunku, barw i wyrazu.

Reprodukujemy tu dzisiaj prace samodzielne Łopieńskiego. Zobaczą z tych kilku reprodukcji czytelnicy nasi, że są to prace poważne i sumienne. W traktowaniu formy widać wielką uczciwość i spokój. Dzieło, reprodukowane na pierwszej stronie dzisiejszego zeszytu, jest to jędrnie narysowana postać kobieca (studjum).

Poniżej podajemy czytelnikom „Rzeźbiarkę“, spoczywającą u stóp swego niedokończonego dzieła. Z dużą siłą i wyrazistością narysowana jest ta postać na ciemnym tle pracowni. Ponad nią widzimy zwiastający zarys spowitej w płachty rzeźby, która wydaje się być jakowymś koszmarem męczącym, czemś, co jeszcze nie przybrało swych form ostatecznych, a co, będąc dopiero w stadium kształtowania się ciąży nad duszą i męczy ją, domagając się pracy wówczas, gdy już z artysty ulatuje energia i moc. Rzeźbiarka ta zda się być przedstawiona w chwili takiego znużenia, odpływu energii, poddania się męczącym smutkom i zwątpieniom. Prócz tej pracy, dajemy czytelnikom dzisiaj dwa subtelne krajobrazy.

Łopieński ma duże zasługi, jako pedagog. Cały szereg rzemieślników i artystów, do których zalicza się i piszący te słowa, korzystał z jego cennych rad i wskazówek, jako nauczyciela rysunków. Uczył on sumiennego, rzetelnego obserwowania form w naturze i ścisłego ich odtwarzania, dawał więc dobre podstawy do dalszej samodzielnej, twórczej pracy.

J. R.



I. ŁOPIEŃSKI.

RZEŹBIARKA.



I. ŁOPIEŃSKI.

KRAJOBRAZ.



I. ŁOPIEŃSKI.

KRAJOBRAZ.

NA MARGINESIE CHWILI.

12.

„Tworzymy burząc!” a „burzimy tworząc!” — to nie jest tylko przestawienie wyrazów jednobmiących, to — przestawienie dwóch biegunowo różnych światopoglądów.

„Tworzymy burząc”, czyli inaczej: tworzymy przez burzenie — to nieodpowiedzialne, żywołowe, dzikie hasło Hunnów, hasło, przejmowane dziś—via Bakunin przez komunistów, Tkwi w niem odruch tego rodzaju: To, co jest, jest złe. Jak tworzyć dobro, nie wiemy. A więc burzmy to, co jest złe, nie troszcząc się o to, co będzie, gdyż to, co wyrosnie na ruinach, będzie niezawodnie inne, więc lepsze.

„Burzimy tworząc” czyli inaczej: burzimy przez tworzenie—to hasło, godne świadomego wytwórcy—proletariusza. Tkwi w niem świadomość tego, że postawą bytu ludzkiego jest twórczość, wytwarzanie, że przez zmianę form wytwarzania i wymiany dóbr ulegają zburzeniu nieprzystosowane do nich formy bytu.

Hasło: „burzimy tworząc!”, które widniało na sali obrad pierwszego zjazdu robotniczych stowarzyszeń współdzielczych, winno stać się myślą przewodnią świadomego swych zadań dziejowych w przemówowej dobie obecnej proletariatu.

13.

Wojska polskie wespół z ukraińskimi zajęły Kijów. Spełniony został czyn doniosłego, historycznego znaczenia. Stawia on nas wobec zagadnień poważnych i trudnych. Proletariat nie chciał i nie chce dalszej wojny. Pragnął on zawrzeć pokój z Rosją i ułożyć stosunki z sąsiednimi narodami na podstawie związku wolnych z wolnymi, równych z równymi. Niestety, dokonać tego nie miał sił, a więc możliwości.

Wojna trwa. A wojska polskie wespół z ukraińskimi zajmują prawobrzeżną Ukrainę, aby—w myśl odezwy Piłsudskiego — dać możliwość narodowi ukraińskiemu stworzyć własne państwo.

Kto, jak kto, ale proletariat zdaje sobie aż nadto sprawę z tego, jak wielka przestrzeń dzieli odezwę—obietnicę od wykonania. Inna rzecz—zamierzenia historyczne Naczelnego Wodza, a inne rzecz — wykonanie i wykonawcy.

Nie mógł proletariat polski przeszkodzić dalszej wojnie, lecz to nie zwalnia go od odpowiedzialności za dalsze tej wojny koleje i następstwa. Każdy niebacznym krokiem władz wojskowych, Rządu i Sejmu może być brzemienny w nieobliczalne wprost następstwa. I dlatego proletariat polski winien zwrócić pilną uwagę na rozważanie sprawy ukraińskiej i przeciwdziałać całą siłą wszelkim zakusom reakcji, zmierzającym świadomie lub podświadomie do uczynienia z Ukrainy zarzewia wiecznych niepokojów i niebezpieczeństw dla Rzeczypospolitej.

14

Nienapróżno reakcja polska uczyniła dziś z dnia 3 maja swe święto. Konstytucja, uchwalona 3 maja 1791 roku po czteroletnim deliberowaniu szlachty

o tem, jakby się wykić od obowiązku zbawienia Rzeczypospolitej kosztem choćby najmniejszych ustępstw egoistycznych przywilejów stanowych, nie weszła nigdy w życie. W chwili kiedy zewsząd groził wróg zewnętrzny, a strop się walił nad zmurzałem domostwem Rzeczypospolitej, 4 lata długie różni Suchorzewscy bili się w piersi i opluwali śliną własną w obronie Boga i ojczyzny złotych wolności szlacheckich Konstytucji, oraz nie dopuszczali do jej uchwalenia licząc na pomoc i opiekę Najjaśniejszej Aljantki, Katarzyny.

Dużo wody upłynęło od tego czasu. Polska przeszła przez ogień czyscowy niewoli. Śród pożarnych łun i pogorzeliisk wojny weszło wreszcie słońce wolności. Otoczony wieńcem wrogów naród buduje nową Rzeczpospolitą. Zebrał się Sejm Ustawodawczy. I oto znów mijają długie miesiące, a najjaśniejsi posłowie deliberują i deliberują, jakby się wykić od obowiązku budowania mocnych i trwałych podstaw Rzeczypospolitej kosztem choćby najmniejszych ustępstw z egoistycznych interesów klasowych.

15.

Spółceństwo polskie jest w olbrzymiej większości katolickie. A przecież znajomość katolicyzmu i Kościoła Rzymskiego, jako organizacji międzynarodowej, jest u nas bardzo słaba. Ciekawe niezmiernie światło na to, czem jest pod względem społecznym i politycznym i do czego dąży katolicyzm, rzuca książka Anglika, R. H. Bensona „Brzask wszechrzeczy”. Książka ta jest przetłumaczona na język polski i wyszła nakładem księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu. Dobrze byłoby, aby przeczytał ją każdy myślący proletariusz.

Benson—to anglikanin, który przyjął katolicyzm, został księdzem i gorliwym wyznawcą Kościoła Rzymskiego. W „Brzasku wszechrzeczy” maluje on obraz Europy, jak ją sobie wyobraża w końcu XV stulecia.

Cała Europa będzie katolicka. Katolicyzm zatryumfuje w Anglii, Niemczech, na wschodzie Europy — w Rosji, nawet w Japonji, Chinach, Persji. A ten tryumf uzewnętrznia się pod względem politycznym i społecznym przez przywrócenie państwa Kościelnego, powrót Burbonów na tron Francji, przywrócenie wszystkich majątków kościelnych w Europie i trybunałów duchownych dla sądzenia heretyków, uznanie przez wszystkich monarchów papieża za najwyższego zwierzchnika, wreszcie, przez zduszenie ostateczne hydry socjalizmu. Najsmutniejszy los spotka biedną Irlandję. I to jest niezmiernie charakterystyczne w ustach Anglika. Przystanie ona istnieć i będzie oddana na własność różnym klasztorom. Wiedocześnie, to będzie kara Boża za buntowanie się przeciw Anglii.

Książka Bensona jest ciekawa nietylko, jako wyraz rojeń i marzeń katolickich w wieku XX (napisana wstała w r. 1911), lecz i jako wierna ilustracja postawy dziejowej Kościoła Rzymskiego wobec ludzkości. Jest on bezwzględny wrogiem demokracji, jako świadomej swych zadań i celów życiowych większości; jest on bezwzględny wyznawcą absolutyzmu teokratycznego, a królestwo jego z tego jest świata.

Benson wypowiada swe marzenia w sposób niezmiernie naiwny, prosty. Ks. K. Lutosławski zropiłby to w sposób bardziej precyzyjny. Lecz to, co nawrócony Anglik wypowiada naiwnie i bez głębszych uzasadnień, składa się na istotę i treść społeczno—polityczną Kościoła Rzymskiego. Katolicyzm, jako organizacja międzynarodowa, jest wrogiem bezwzględny nie tylko socjalizmu, lecz i Rzeczpospolitej. O tem należy stale pamiętać.

Jako wymowna próbka umysłowości Bensaona i światopoglądu katolickiego, niech posłuży ustęp poniższy z jego dzieła:

„Jak każdy oświecony naród, tak i Niemcy wierzą dziś (w końcu XV w.—B. S.), że monarcha przeznaczony jest od Boga na to, by rządził swym ludem. Wierzą także, że katolicyzm jest prawdziwą religią. Jeżeli więc panujący jest katolikiem, to słuchają go bezwzględnie, ponieważ wiedzą, że podlega zwierzchności papieża, Namiestnika Bożego. W drobnych sprawach słuchają go po prostu, jako swego pana, względem którego sumienie przykazuje uległość.“

16

— Mój Boże! Temu Piłsudskiemu urządzają takie owacje, jakby był conajmniej gubernatorem.

Tak w roku pańskim 1920 po dniu 19 marca, a więc w dniu imienia Naczelnika Państwa wyraziła się pewna obywatelka stołecznego miasta Warszawy, starsza niewiasta i właścicielka domku na przedmieściu, gdy dowiedziała się o przedstawieniu uroczystym, urządzeniem na cześć Solenizanta w Teatrze Wielkim.

Sądzę, że nie będzie to zbyt krzyżącą przesadą, jeśli powiem, że świadomość stosunku obywatelskiego do Rzeczypospolitej Polskiej 75% ludności jej jest mniej więcej tego typu. Dla pokolenia współczesnego, wychowanego w niewoli, gubernator, landrat, c. k. starosta pozostaną pierwowzorami niezartem władz prawowitej, a to wszystko, co się dziś dzieje w Polsce, pozostanie dla nich bodaj do śmierci czemś nienaturalnym, tymczasowym, niezrozumiałym.

17

Dzień 1-y maja 1920 roku minął. Święto udało się wspaniale w całej bodaj Europie. Pochody były wielkie, inponujące ilością uczestników i sztandarów. Od przyszłego święta dzieli nas rok cały, a więc można omawiać krytycznie przeszłość i rozważać przyszłość.

Jaki jest sens, jakie znaczenie święta 1-go maja? Historycznie święto to ma znaczenie bojowe. Powstało ono w warunkach ciężkich, trudnych, kiedy proletarjat ani nie stanowił tej siły, ani też zdobywcze jego nie były tak wielkie, jak dziś. Święto majowe było demonstracją protestu przeciwko uciskowi i kajdanom, było demonstracją solidarności międzynarodowej proletarjatu. W warunkach przedwojennych było ono też szkołą walki. W dobie wyjątkowej pracy, związanej z rozkwitem życia gospodarczego przed wojną, strajk powszechny w dniu pierwszym maja, a bodaj częściowy, już jako taki, jako porzucenie gromadnej pracy, miał przekonywać i mógł przekonywać zarówno masy proletarjackie, jak i klasy posiadające o tym, jak wielkie znaczenie w życiu ludzkości ma praca wytwórcza i jak bardzo zmienia się sam obraz zewnętrzny życia, gdy pra-

cownicy opuszczają ręce. To też po za bojowością samą, wypływającą z warunków bytu proletarjatu, dzień pierwszy maja nabierał znaczenia święta uczczenia pracy.

Wojna i kataklizm społeczny oraz gospodarczy, które są jej skutkiem bezpośrednim, zmieniły do gruntu warunki bytu proletarjatu. W chwili, kiedy ludzkość ogołocona jest z dóbr, wytwarzanych przez pracę, znaczenie klasy najmitów musiało wzrosnąć ogromnie. Dziś nikt temu nie zaprzecza. Wprawdzie klasy posiadające pragnęłyby bardzo powrotu dobrych czasów przedwojennych, kiedy wytwórca—najmita był niewolnikiem, zdają one sobie jednak sprawę, że ich życzenia są nieziszczalne. Zmieniły się warunki wytwarzania i zmienić się musiało ustosunkowanie sił społecznych. W związku pizecie z tą zmianą nastąpiło i przesunięcie odpowiedzialności za sam proces życiowy. Dawniej proletarjat, jako narzędzie—najmita, nie ponosił żadnej odpowiedzialności za to, jaką drogą potoczy się życie gospodarcze. Głowa go o to nie bolała. Myśleć o tem było rzeczą kapitalistów — przedsiębiorców. Dziś, kiedy surowców jest mało, a dostać je trudno, kiedy warsztatów, przystosowanych do potrzeb wytwórczych, jest niewiele, a same potrzeby są wielkie, kiedy panuje drożyzna, między innymi, w skutek niespółmierności podaży i popytu wsi i miasta, kiedy demoralizowana ostatecznie przez wojnę burżuazja nie zdolna jest pokierować wytwórczością, proletarjat nie tylko nabiera specjalnego znaczenia społecznego i gospodarczego, lecz musi też wziąć na swe barki odpowiedzialność za przyszłe losy ludzkości, za sam proces życia, a więc i za pracę, jako jej podstawę.

Warunki, w jakich dziś żyje ludzkość, są tak ciężkie, złożone, kalekie, że wymagają wielkiego wysiłku twórczego. I na ten wysiłek winien się zdobyć proletarjat. A wystąpić powinien nie tylko, jako chirurg, gotowy do przecięcia ropiejącego wrzodu społecznego, lecz i jako twórca nowych wartości. I dlatego wydaje mi się, że w dobie obecnej, kiedy wytwórca — najmita przedzierzga się stopniowo w wywórcę — spółdzielcę, kiedy boje wystąpienia aż nadto często odrywają proletarjuszka od pracy, kiedy tej pracy wyjątkowej tak bardzo dla przyszłości i wyzwolenia proletarjatu potrzeba, a lenistwo, spowodowane przez rozprężenie systemu nerwowego i dyscypliny dotychczasowej, stało się chorobą mąminną, obchód 1-go maja powinien mieć inne znaczenie i charakter.

Należy raz nareszcie zrozumieć, że minął bezpowrotnie czas, kiedy proletarjat mógł jeno demonstrować swoją liczbę i zwartość szeregów nazewnątrz wobec wrogów klasowych. Należy raz nareszcie zakończyć z taktką demonstracji dla demonstracji.

Nic łatwiejszego dziś, jak powstrzymać się od pracy. Nikomu to nie zaimponuje. Tymczasem proletarjat winien imponować wrogom swym, wszelkiego rodzaju paskarzom i pasczytom—siłą ducha, rozumem, charakteru. W tej przelomowej dobie uczcić dzień święta pracy winien on nie przez powstrzymanie się od niej, lecz przez ofiarowanie całego tego zarobku na jakieś wielkie cele. Praca powinna rozpocząć się o g. 6-jej rano i trwać do g. 2-jej po południu. Punktualnie o 2-jej powinno zamrzeć życie pracy, i rozpocząć się święto. Na pochody i akademje czasu wystarczy!

Bronisław Siwik.

ORGANIZACJA MŁODZIEŻY ROBOTNICZEJ.

Brak ludzi. Brak jednostek, które byłyby zdolne do objęcia stanowisk kierowniczych, które posiadałyby odpowiednie przygotowanie ideowe i praktyczne, niezbędne do spełnienia tych, tak odpowiedzialnych nieraz, obowiązków. A organizacje robotnicze rosną, potężnieją, specjalizują się i ludzi do pracy wykonawczej przede wszystkim potrzeba coraz bardziej. Już ten jeden wzgląd powinien skłonić do pilnego zajęcia się wychowaniem odpowiednio wyrobionych kadrów. Materiałem winna się stać i młodzież robotnicza, która, związana przez całe swe życie z proletariatem, jest jego składową częścią i może wytworzyć zastęp inteligencji robotniczej.

Zresztą sprawa ta posiada samodzielne znaczenie. Wytworzenie zastępu młodych, inteligentnych, kulturalnych sił robotniczych, jest pierwszorzędnym zagadnieniem podniesienia poziomu kulturalnego i wzmocnienia klasy robotniczej.

Zagadnienie pracy wśród młodzieży robotniczej i skupienie jej w specjalnych kulturalno-oświatowych organizacjach oddawna stoi na porządku dziennym. Były czynione tu i owdzie próby. Wytworzyły się nawet pewne ośrodki, skupiające młodzież robotniczą, ale wielką, silną i zdolną do spełnienia ciężących na niej zadań organizację młodzieży, stworzył tylko Śląsk Cieszyński pod nazwą „Siła“.

W zeszłym zeszycie „Światła“ daliśmy sprawozdanie z rocznika „Oświaty“ organu „Siły“ — tam też najogólniej scharakteryzowaliśmy zadania, stojące przed „Siłą“ — teraz podkreślamy konieczność rozszerzenia zastępów „Siłaczy“ przez młodzież robotniczą innych dzielnic Polski.

Troska o to musi ogarnąć organizację polityczną proletariatu. Zjazd P. P. S. zrozumiał tę potrzebę i całym autorytetem swoim poparł usiłowania „Siły“ i podkreślił konieczność rozszerzenia tej organizacji, na całą Polskę. — Uchwala ta znaleźć musi żywy odźwięk wśród młodzieży robotniczej, szczególnie zaś wśród kół już zorganizowanych. — Muszą się one złączyć, zcałić dla wspólnej pracy. Zaś partja musi dać ludzi, którzy poświęcą się tej pracy i potrafią wytworzyć wielką organizację.

ac



W przyszłym zeszycie „ŚWIATŁA“, umieścimy wielką fotografię uczestników XVII Kongresu P. P. S.

Data niniejszego zeszytu winna być: 30 maja.

DWA ZJAZDY.

Rok ubiegły zaznaczył się w życiu polskich robotników szalonym wzrostem wszystkich klasowych organizacji. Żywiłowo, często samorzutnie, bez żadnej znikąd pomocy — w najgłuchszych zakątkach prowincji powstają robotnicze organizacje zawodowe, spółdzielcze i polityczne. Szukają one kontaktu z ogółem robotniczym, szukają w nim oparcia i pomocy w codziennej walce, łączą się, jednoczą ze starszymi organizacjami, stają się ich komórkami, powodując wzrost całości organizacji.

Ten ogromny wzrost organizacji doskonale uwidocznili parę cyfr, wziętych ze sprawozdań statystycznych: Związek Rob. Stow. Spółdzielczych liczył w czerwcu ub. r. 14000 członków, na 1 stycznia r. b. liczba ta wzrosła do 58,000 — Klasowe Związki Zawodowe liczą na 1 stycznia 334000 członków, gdy sądząc po rozroście zw. zawodowych w Małopolsce, które liczyły w r. 1919—28000 czł., a w r. 1920 (1 stycznia) 102000 — mogły one przed rokiem liczyć najwyżej jakieś 60000 czł.

Szybki wzrost organizacji, zapełnianie ich świeżymi członkami, nie posiadającymi ani umiejętności, zdobytej praktyką, ani wiedzy teoretycznej — musiał wywołać szereg zjawisk chwilowych niedomagań, niepewności i niezdecydowania w obiorze tej lub innej metody postępowania.

Ató najważniejszą sprawą stało się opracowanie taktyki i zasad organizacji jak spółdzielczych tak i zawodowych. Stało się koniecznym ujednostajnienie szeregów organizacyjnych.

Tych rzeczy mogły tylko dokonać zjazdy odpowiednich organizacji. I śmiało możemy powiedzieć, że zarówno Zjazd kooperatyw robotniczych, jak i Zjazd Klasowych Związków Zawodowych — spełnił swoją rolę znakomicie. Teraz po Zjazdach mamy do czynienia z wielkimi spójnymi organizacjami, posiadającymi jasne cele i drogi pracy.

Zjazd Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych opracował bowiem program spółdzielczy, a Zjazd Związków Zawodowych — jednolite formy organizacyjne i zadania Związków Zawodowych.

Na obu Zjazdach ścierały się z sobą dwa prądy ideowe: socjalizm i komunizm. W obu wypadkach myśl socjalistyczna zwyciężyła, dając rękojmię należytego szybkiego rozwoju organizacji.



I Kongres klasowych Związków Zawodowych w Polsce (odbył się w Warszawie, 14 — 16 maja).



I Ogólnokrajowy Zjazd Stowarzyszeń Spółdzielczych (odbył się w Warszawie 8 — 10 maja).

KURS KOOPERACJI ROBOTNICZEJ W KRAKOWIE.

Z inicjatywy Uniwersytetu ludowego im. Mickiewicza, przede wszystkim z inicjatywy, d-ra Bolesława Drobnera, zorganizowano w Krakowie w czasie od 12 stycznia 1920 do dnia 12 kwietnia trzechmiesięczny kurs kooperatystów, który zakończył się nadzwyczajnym rezultatem. Ze stukilkunastu słuchaczy, jacy się na kurs zapisali przystąpiło do egzaminu przeszło czterdziestu. Prócz trzech „inteligentów“ na kursie pracowali sami robotnicy i robotnice. Pracowali, bo to nie tylko słuchali wykładów, ale przerabiali cały szereg zadań, praktyczne odbywali ćwiczenia, szczególnie z buchalterji. Słuchacze kursu zaczęli od zwykłych rachunków, nauki czytelnego pisma, potem dopiero uczyli się towaroznawstwa, rachunkowości kupieckiej, a zakończyli dwumiesięczną nauką buchalterji. Kurs ten rozpoczął poseł tow. dr. Bobrowski wykładem o zadaniach kooperatyw, drugi wykład wstępny miał b. poseł dr. Gross o ustawodawstwie i systemie podatkowym w stosunku do kooperatyw. Wśród słuchaczy był 1 drukarz, 1 kotlarz, 1 kaflarz, 2 ślusarzy, 2 introigatorów, 3 malarzy, 6 kolejarzy, 3 handlowców, 2 tramwajarzy, 2 tytoniowe, 1 krawczyni, 1 stolarz, 8 pracowników konsumów i kas chorych, a więc też robotników i robotnic.

Kurs ten był pierwszy i prowadzący go zauważyli, jakie były jego dobre i złe strony. Złych uniknie się na przyszłość, dobre będą świecić przykładem innym miastom. Wszelkich wskazówek co do kursu tego interesującym się udzieli tow. dr. Bol. Drobner, Uniwers. ludowy, Kraków, ul. Zwierzyniecka 1.14.

Finansował kurs Związek Kooperatyw Robotniczych „Proletariat“, subwencjonował też Zw. Konsumów Kolejowych. Wykłady odbywały się w bezpłatnie udzielonej wielkiej Sali Akademji Handlowej. Na uroczystości zakończenia Kursu byli m. i. prokurator Lang, prof. Bujwid, adw. Majzels, Helena Witkowska i t. d.

W pierwszym rzędzie siedzą od lewej ku prawej stronie. Tow. dr. Nelken, kier. pracy oświat. - wychowawczej, prof. Wnorowski (Rachunkowość zwykła), prof. Wojciechowski, (Buchalterya kooperatyw) jeden z najdzielniejszych kooperatystów w Polsce, poseł dr. Bobrowski, prezes Zw. koop. „Proletariat“, tow. dr. Bol. Drobner (Rach. kupiecka i kalkulacja towarów) dr. Mazur, dyr. Zw. koop. robotn. prof. dr. Łoziński (Towaroznawstwo) i dr. Kropatsch, prezes Rady nadzorzej Zw. rob. koop. „Proletariat.



W pierwszym rzędzie siedzą od lewej ku prawej stronie. Tow. dr. Nelken, kier. pracy oświat. - wychowawczej, prof. Wnorowski (Rachunkowość zwykła), prof. Wojciechowski, (Buchalterya kooperatyw) jeden z najdzielniejszych kooperatystów w Polsce, poseł dr. Bobrowski, prezes Zw. koop. „Proletariat“, tow. dr. Bol. Drobner (Rach. kupiecka i kalkulacja towarów) dr. Mazur, dyr. Zw. koop. robotn. prof. dr. Łoziński (Towaroznawstwo) i dr. Kropatsch, prezes Rady nadzorzej Zw. rob. koop. „Proletariat.

WOJNA NA UKRAINIE.

Wojska Polskie dotarły do Kijowa.—Wojska ukraińskie, sprzymierzone z polskimi, zajmują Odeseę. — Cała prawobrzeżna Ukraina jest oswobodzona od najazdu bolszewickiego, bo był to najazd — nic więcej. Korzystając z owoców carskiej polityki, która zrużykowała miasta, bolszewicy opanowali je i wzięli w posiadanie całą Ukrainę.

Nieszczęsny to kraj. Przecho-
dzi on już kilkakrotnie najrozmaitsze koleje. Zmieniło się kilka rządów, przemierzyły jego żyzne pola najrozmaitsze wojska — teraz weszły doń wojska polskie.

Ogłosiły one wolność Ukrainy. Weszły jako przyjacielskie, sprzymierzone siły. Poprzedziła je odezwa J. Piłsudskiego, głosząca wyzwolenie i niepodległość Ukrainy. Chcę się marzyć, że istotnie tylko wolność, tylko braterstwo niosą tam nasi żołnierze...

Ale jeszcze przed poходом na Kijów były objawy przykre i mącą one dzisiejszą radość

Bowiem w stosunku do Ukraińców nie umiał Rząd polski zająć szczerzego, przyjacielskiego stosunku. Tych 2 tysiące obszarników ukraińskich potrafiło wpływać swemi opanowaciami rządów i wytworzyło atmosferę targów i gwałtów. Zmuszono Ukraińców do podpisania umów, bo mieli nóż na gardle postawiony przez bolszewików. — I teraz dalej prowadzi się tę politykę. Narzuca się Ukraińcom ministrów, prześladuje się ich w Galicji i w zajętych już dawniej częściach Podola i Wołynia. Dość przejrzeć któreś z ukraińskich pism, by naocznie się o tem przekonać.

Przeto lęk nas ogarnia czy egoizm klas posiadających, ich szowinizm i chęć

za wszelką cenę powrócenia do dawnych swych włości nie zniszczy dzieła odbudowy Ukrainy, która może być naszym dobrym i pożytecznym sąsiadem. — Czy nie pociągną za wojskiem czarne stada obszarników-zubrów ukraińskich i nie utworzą tego, czego widownią była Ukraina już nieraz w ostatnich czasach: — powstania żywiołowego chłopów ukraińskich. Bo chłopci ci nie zgodzą się za żadną cenę na powrót starych panów.



Podajemy dzisiaj portret Semen Petlury, wodza Ukraińców, niejednokrotnie wyrzucanego przez wrogów z granic swego kraju, dziś przy pomocy wojsk polskich osiągnąjącego władzę. Jest on synem chłopca. Urodził się w r. 1879 w Poltawie. Po ukończeniu szkoły ludowej (t. zw. „bursy“), uczęszcza do seminarjum, lecz w ostatnich latach nauki zostaje za swe rewolucyjne przekonania wyrzucony z niego i dalej posuwa się już o własnych siłach. Uczy się w domu, później po aresztowaniu zagranicą — we Lwowie, powraca w 1905 r. do Kijowa, gdzie prowadzi socjalistyczną robotę. W czasie rewolucji dostaje się znów do więzienia. Wybuch wojny zastaje go w Petersburgu — jako działacza w socjalistyczno-demokratycznych kołach ukraińskich i rosyjskich. Po powrocie staje na czele budującej się armji ukraińskiej i wśród wielu przeżyć, jakie musiała przeżyć jego ojczyzna, zostaje mianowany przez Centralną Radę głównym atamanem wojsk ukraińskich.

Teraz „bat’ko“ Petlura jest naczelnikiem całego narodu ukraińskiego.

ac.

SEMEN PETLURA, wódz wojsk ukraińskich.

Obchód Święta Majowego w Piotrkowie.

Dzień 1-go maja b. r. obchodzony był w Piotrkowie z nieznaną tam dotychczas wspaniałością przez wielotysięczne rzesze robotników.

Ranek wypełniły uroczyste wiece i pochody; po południu zaś — odbyło się otwarcie wystawy, poświęconej historii ruchu robotniczego.



Wiece na Rynku.

Wesoła zabawa ludowa uzupełniła ten dzień, który pozostanie niezatartym wspomnieniem w pamięci mieszkańców Piotrkowa.



Czolo pochodu.

Obchód Święta Majowego w Płocku.

Ze wszystkich dzielnic miasta Płocka, jak również i z okolic, ściągały w dniu 1 maja pod lokal okręgowej organizacji P. P. S. i Rady Del. Rob. liczne rzesze robotników miejskich i wiejskich, by uroczyście uczcić Święto Majowe. Stamtąd to ruszył ogromny pochód ulicą Grodzką w stronę Magistratu, — by zatrzymawszy się przed Gmachem Magistrackim, wysłuchać przemówień miejscowych oraz przybyłych specjalnie na tę uroczystość, towarzyszy, między innymi, prezesa Płockiej Rady Miejskiej.

skiej. tow. Sztromejera i tow. posła do sejmu M. Niedziałkowskiego.

Jednym z uroczystych wydarzeń dnia było przybicie nowych tabliczek na dawnej ulicy Dominikańskiej, która obecnie w myśl uchwały Rady Miejskiej, została nazwana ulicą Pierwszego Maja.

Po południu odbyło się uroczyste posiedzenie Płockiej Rady Miejskiej, poświęcone Świętu Majowemu, a wieczorem — Zgromadzenie Ludowe w sali teatru Miejskiego.



Wiece pod

Magistratem.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci i uregulować resztę należności za I półrocze (do 1 lipca).

Z WYDAWNICTW. INFORMATOR M. ŁODZI z kalenda-
rzem na r. 1920. Opracowanie I na-
kład W-lu statystycznego magistratu m. Łodzi.

Żadne miasto polskie nie może się poszczycić takiem wyda-
wnictwem jak niniejsze. A tylko miasta i państwo wydawni-
ctwa tego rodzaju mogą w dzisiejszych czasach podejmować.
Informator łódzki to ogromne dzieło (500 z górą stron, prócz
wielkiego działu adresowo-ogłoszeniowego) mające czytelnikowi
zobrazować całokształt życia polskiego Manchesteru.

Najbardziej obchodzący nas tutaj dział geografji, histo-
riji i statystyki m. Łodzi, daje rzeczywiście pojęcie o tem, czem
jest to miasto. Znajdujemy tu przedewszystkiem ciekawy pió-
ra Z. Loreńca szkic historii małego przed stu laty miasteczka,
posiadającego zaledwie 799 mieszkańców, a poczynając od
1829 roku stale i szybko wzrastającego do dzisiejszej* półmi-
ljonowej liczby mieszkańców. Oto parę cyfr dotyczących
wzrostu ludności Łodzi: r. 1820—799 mieszk.; r. 1830—4343;
r. 1840—16415; r. 1850—15764; r. 1860—32639; r. 1872—50000;
r. 1873—100000; r. 1893 — 150000; r. 1904 — 400000 i r. 1910 —
450000 mieszk.

Dalej spotykamy napisany przez Nusbaum-Ołtarzewskie-
go zarys rozwoju ruchu rob. w Łodzi, podający nam nadzwyc-
zaj ciekawe dane, dotyczące rozwoju związków zawodowych,
kooperatyw, instytucji oświatowych, wreszcie działalności ro-
botników w Radzie Miejskiej.

Nadzwyczaj ciekawe światło na stosunki Łodzi dzisiej-
szej rzuca praca Zalewskiego o Komisji Powszechnego Na-
uczania. Walka z analfabetyzmem — to największą zasługą
robotniczej Rady Miejskiej w Łodzi. — Miasto to stało pod
względem czytelnictwa niżej Moskwy i Warszawy, gdy dzisiaj
według przeprowadzonych obliczeń na 70000 dzieci zaledwie
3000 nie uczęszcza do którejś ze szkół. A od września b. r.
obliczuje autor „wszystkie dzieci w wieku szkolnym będą
uczęszczały do szkół”.

To chluba Łodzi!

Brak nam miejsca dla dalszego szczegółowego sprawo-
zdania z tego cennego, wielkiego dzieła. Ograniczymy się
przeto do wyszczególnienia tylko dalszych ważniejszych prac:
A więc znajdujemy dalej prace o bibliotekach i czytelnictwie
w Łodzi (Jan Augustyniak); o sprawie mieszkaniowej w na-
szych miastach, (L. Rogowski) o łódzkim bataljonie robotni-
czym (M. Hertz), o półkolonjach letnich dla dzieci (S. Kopciń-
ski) i t. d.

Prócz omówionego tu działu Informator posiada: kalen-
darjum; komunikacje; opłaty i podatki; dekryty i rozporządze-
nia; mlary i wagi; informacje; taryfy i posesje; wykaz ulic
Łodzi i ogłoszenia.

Całość zakończona jest dobrym planem Łodzi, a jako
wstęp widnieje, ładne i silne słowo „wstępne“ Tow. A. Rze-
wskiego.

OŚWIADCZENIE GRUPY LITERATÓW

(na I Zjeździe Literatów Polskich, obradującym w Warszawie,
12 — 14 maja b. r.).

„Z racji pierwszego na ziemiach wolnej Polski Zjazdu
Literatów my, lewicowi pisarze polscy różnych obozów i od-
cieni, wobec panującej w kraju reakcji, która w dziedzynie,
bezpośrednio nas dotyczącej, dochodził aż do zakazu wysta-
wiania w Polsce arcydzieł dramatycznych jej genjuszów, uwa-
żamy za swój obywatelski obowiązek oświadczyć co następuje:

Wyzwolenie Polski nie jest dotychczas całkowite. Wysił-
kiem bohaterów i zrządzeniem losów, opadły z niej więzy,
dopiero zewnętrzne. Lecz duch jej wolny nie jest, praca jest
skrepowana, ucisk i wyzysk człowieka przez człowieka trwają.
Walka o lepszą przyszłość dziś się jeno zaczyna. Nie wolno
nam przyglądać się Jej z ubocza. Nie byłoby to zgodne
z wielkimi tradycjami piśmiennictwa polskiego.

Dalecy jesteśmy od myśli o obowiązku jakiegś bezpo-
średniej służby społecznej pisarzy, — od literatury i sztuki
tendencyjnej. Znamy jej nikłą wartość, wiemy, jak odległy
bywa nieraz związek pomiędzy działalnością artystyczną, od-
bijającą najistotniejszego ducha czasu, a — wypadkami dnia,
kierunkami i ugrupowaniami społeczno-politycznymi gromad
ludzkich. Różnymi się zresztą znacznie między sobą w poj-
mowaniu, zarówno celów ostatecznych, jak dróg i środków
walki, którą prowadzimy.

Gdy jednak do tego dzisiaj w Polsce doszło, że w kra-
ju „ducha wlecznego rewolucjonisty“, w kraju, który tyłu wy-
dał rycerzy wolności, dzisiaj sama nazwa rewolucjonisty i mła-
no socjalisty publicznie bywają znieważane, a reakcja groźna
staje się nawet dla arcydzieł literatury, my, pisarze polscy le-
wicy społecznej, musimy zbiorowo dać tutaj świadectwo ele-
mentarnym prawdom i postulatom, będącym podstawą działa-
nia całego bez wyjątku obozu Idealizmu społecznego.

Jesteśmy przekonani, że, po religijnem ongi zrównaniu
wszystkich ludzi przed obliczem Bóstwa, po obywatelskiem
zrównaniu ich przed prawem i po politycznem wyzwoleniu,
przyjść musi również, w tej czy innej formie i ekonomiczne
wyzwolenie człowieka, — wyzwolenie pracy, myśli, talentu
i twórczości z jarzma, jakie im ustrój społeczny narzuca.

Jesteśmy przekonani, że procesu tego nikt i nic już
dzisiaj powstrzymać nie zdoła.

Wierzmy, że dopiero tak wyzwolona ludzkość, zmienić
się będzie mogła w rodzinę porządną, wolnych, swobodnie
o sobie stających i bratnio zrzeszonych narodów. Pozo-
stawiamy życiu samemu wskazanie, która z dróg, jakimi
różni z nas do wspólnego tego zmierzają celu, jest najwłaś-
ciwsza. Uważamy tylko, że bezwarunkowymi wrogami dążeń
naszych są: egoizm narodowy i rasowy, zaborczy militarizm,
ideologja klas z wyzysku żyjących, kapitalistyczna i klerykałna
międzynarodówka krzywdy i wstecznicwa.

Za siłę zaś, której w zaszczytnym przypadło udziale
ureczywistnienie wielkich dążeń, uważamy, świadome powo-
łania, klasy pracujące i z nich wyłonioną albo z nimi się
łączącą i o nie opartą — Inteligencję, w istotnym znaczeniu
tego słowa, reprezentantkę myśli, kultury i organizacji.

Z oburzeniem przeto piętnujemy uprawianą przez re-
akcję, metodę zwalczania wszelkich, czy to, rewolucyjnych,
czy nawet pokojowych dążeń do zmian społecznych, przez
zohydenie walczących o wolność, zarzucanie im zdrady kraju
i przypisywanie celów niszczycielskich i anarchistycznych.

Uważamy, że metoda ta jest w istocie swej haniebna,
bo na ciemnotę mas, nawet quasi-inteligentnych obliczona,
a w wynikach zgubna, bo wypacza moralną i nieuniknioną

walkę grup społecznych, walką o jutro świata, bo znieprawia jednych, a rozgrycza drugich, opóźnia nieuchronny proces uświadomienia i wyzwolenia mas ludowych, kompromitując przytem Polskę, i narażając ją w oczach całego świata cywilizowanego na miano „ostoji reakcji“.

Niedopuszczalnym i dla kraju szkodliwym tym sposobom walki przeciwstawiamy się, z całą stanowczością i ostrzegamy przed ich następstwami.

Stwierdzamy zarazem, że nie wolno Polski dalej utożsamiać z tą pianą, która dziś płynie wierzchem prądu jej życia.

Stojąc pod znakiem walki o wyzolenie pracy i ducha ludzkiego, ślemy breterskie nasze pozdrowienie wszystkim, jak my czującym i jak my walczącym“.

K. Bleszyński, Z. Bohowityn, Waclaw Budziński, Leon Chrzanowski, Gustaw Daniłowski, Artur Górski, Cezary Jellenta, Karol Irzykowski, Waclawa Kiślańska, Tekla Knollówna, Zygmunt Kisielewski, St. A. Kempner, Mieczysław Limanowski, Jan Lorentowicz, Jan N. Miller, Waclaw Makowski, Romuald Minkiewicz, Zofja R. Nalkowska, Bronisława Ostrowska, Olwid Waclaw Rogowicz, Jan Rundbaken, Edward Słoński, za grupę „Skamandra“ Jan Lechoń, i Wł. Zawistowski, Standa Stanisław, Leon Schildenfeld - Schiller, Andrzej Strug, Artur Śliwiński, Aleksander Szczęsny, Waclaw Wolski, Bruno Winawer, Zofja Wojnarowska, za Redakcję „Zdroju“ Jerzy Hulewicz, Emil Zegadłowski, Stefan Żeromski.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

Aleksy Rzewski. „Za wolność i lud“, wspomnienia, tom drugi.

Informator m. Łodzi z kalendarzem na rok 1920 — opracował i wydał Wydział statystyczny magistratu m. Łodzi.

Tadeusz Bocheński. Dzwony. Poezji serja trzecia.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Retke — Autor wiersza — „Przy pracy“. Prosimy o porozumienie się z Redaktorem.

Zet-em — Wierszy nie umieścimy.

Polikarp Łach. „Strofy. fabryczne“ umieścimy.. Prosimy o osobiste porozumienie się z Redakcją.

Poczynając od 1 maja wskutek braku odpowiedniego ilustracyjnego papieru i stałego wzrostu kosztów wydawniczych, zmuszeni jesteśmy wydawać „Światło“ w zeszytach podwójnych raz na dwa tygodnie.

Rozszerzyliśmy zato dział literacki, w którym stale teraz będziemy zamieszczać krótkie nowele i opowiadania najlepszych pisarzy polskich i cudzoziemskich.

Ogólny charakter pisma pozostaje nadal — takim jakim był do tej pory. REDAKCJA.

Walne Zebranie konstytucyjne Tow. Wyd. „ŚWIATŁO“

odbędzie się w niedzielę 30 maja o godz. 11-iej rano w sali „Robotnika“, Warecka 7, I piętro.

Obecność każdego udziałowca konieczna.

Bezpłatne premjum „Światła“

Wszyscy prenumeratorzy, którzy wnieśli opłatę za „Światło“ do 1 lipca otrzymają bezpłatnie na dobrym papierze

Reprodukcję artystyczną

jednego z dzieł, reprodukowanych w „Świetle“.

Reprodukcję tą wybiorą sobie sami czytelnicy „Światła“.

Do zeszytu 16—17 zostanie załączony kwestjonariusz z pytaniami, który obraz najbardziej podobał się czytelnikowi. Każdy czytelnik wypełni ten kwestjonariusz i odeśle Redakcji.

Który obraz osiągnie najwięcej zwolenników, ten zostanie odbity na dobrym papierze i rozesłany bezpłatnie wszystkim stałym prenumerat. „Światła“.

WARUNKI PRENUMERATY, z przesyłką do domu: półrocze I-sze (od zesz. 1 do 1 lipca) — mk. 100, półrocze II — mk. 120, kwartalnie — mk. 60.

W Administracji miesięcznie mk. 12. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: za tekstem: Cała strona 2000 mk., — pół strony — 1000 mk., jedna czwarta strony 600 mk. — jedna ósma strony — 300 mk., — jedna szesnasta strony — 150 mk. W tekście: przed rubryką „Z wydawnictw“ miejsce wiersza nonparelowego — 15 mk.

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; ADMINISTRACJI WSPÓLNA 17.

Redakcja otwarta codziennie od 5 — 6 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—4 pp..

REDAKCJA: JAN HEMPEL, JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI.